

PAWEŁ MARGUERITTE.

# CZARNA KSIĘŻNICZKA.

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

1

I

## Szkodliwe podobieństwo.

— Lulu! Dostaniesz klapsa!

Dziecko, zajęte budowaniem tunelu z piasku, w dalszym ciągu skrupulatnie walało swoją jasną sukienkę. Bona jego, panna Marya, osoba zgryźliwa o żółtej, niezdrowej cerze, wyrwała mu z rąk łopatkę i wiaderko i uderzyła go parę razy po ręce. Krzyki dziecka zwróciły uwagę dozorczy, zajętego grzaniem starych kości na odleglejszej ławce. Odwrócił się zachmurzony.

— Będiesz ty cicho! — zawołała bona, pociągając małego za długie, złociste loki.

— Niepotrzebnie sobie pani krew psuje! — zauważyła przechodząca wysoka i potężna niańka, popychając przed sobą mały wózek białolakierowany.

— To wy, Burgundka, dzień dobry. Utrapienie moje to nieznośne dziecko!

— Ładny jednak, jak obrazek — rzekła niańka, siadając ciężko na ławce.

— Ej! Co też pani mówi! — obruszyła się panna Marya.

— Ja tam jestem zawsze zadowolona ze wszystkiego! — oświadczyła korpulentna niańka — Byleby czas był pogodny, a mój mały zdrowy.

Panna Marya zawistnym spojrzeniem obrzuciła sąsiadkę.

— Oh! Pani ma bardzo dobrą służbę. — wycedziła — Lulu, nie kręć się tak, bo będzie źle z tobą!

Burgundka przyjazne spojrzenie zwróciła na małego.

— Znadto panna Marya dla niego surowa. — odezwała się z wyrzutem — Trzeba brać życie, takie, jakie jest.

— Pani to łatwo mówić. Wierzę — odpowiedziała szorstko bona. — Cóż to, Mysz nie przychodzi dzisiaj? — zapytała po chwili.

Myszą przezwali towarzyszkę, Zoe Carperade, małe, zwinne stworzenie o wiecznie wylekniionych oczach.

— Patrzcie no, Burgundka! To jakaś nowa idzie?

Chuda, koścista niańka o dumnym i odpychającym wyrazie twarzy nadchodziła w ich stronę, popychając biały, nieduży wózek.

Przechodząc koło ławki, zatrzymała się.

— Może się pomieścimy? — odezwała się Burgundka. — Proszę siadać, miejsce się znajdzie.

Niańka zawahała się chwilę, wkońcu usiadła, stawiając wózek obok ławki.

Zapanowało milczenie. Panna Marya odwróciła się pogardliwie, nie zwracając uwagi na nowoprzybyłą.

— Pani nie tutejsza? — zapytała grzecznie Burgundka. — Pierwszy raz panią tu widzę.

— Przyszedłam z placu Trocadero.

— Pani może pochodzi z Pikardyi? — pytała dalej Burgundka, chcąc koniecznie nawiązać rozmowę.

— Nie.

— Z Normandyi?

— Nie.

Odpowiedzi padały suche, niechętne.

— Oh! Już wiem! — zawołała rozpromieniona Burgundka — Z Paryża!

— Z czego to pani poznaje?

— Po szyku!

— Zgadła pani, jestem z dzielnicy Montmartre.

— Zaraz to widać! Oh! Mały wasz się budził!

— To dziewczynka.

Paryżanka wstała, wyjęła dziecko z wózka i karmić je zaczęła.

— Mój, to chłopiec! — objaśniła Burgundka — Wystrzał armatni by go nie zbudził!

Po chwili chuda niańka ułożyła z powrotem dziecko we wózek i nucić cicho zaczęła.

— Jakie to dziwne — zauważyła z dobrodusznym uśmiechem Burgundka — nasze wózki są całkiem do siebie podobne. Obydwa są białe, nowe i jednej wielkości.

— Bardzo możliwe. Pewnie są kupione w jednym sklepie.

— Czy w tem jest coś dziwnego? — zauważyła wyniośle, milcząca dotąd, panna Marya.

Mówiąc to, wstała i wózek swój ustawiła obok tamtych.

— Patrzcie no panie, czy to nie śmieszne! — zawołała Burgundka — I dzieci są całkiem do siebie podobne! Te same czapeczki, kołderka, poduszki z haftami! Łatwo by można się pomylić! — dodała, śmiejąc się szeroko.

Słowa te dziwnie podziały na pannę Maryę. Podniosła oczy na Burgundkę i szczególny wyraz przebiegł po jej twarzy.

— Tęby była ciekawa historia — pomyślała — gdyby tak te nianki zamieniły dzieci! Uśmiełabym się porządnie! Coby to było hałasu, krzyku i płaczu! Warto by to widzieć.

Burgundka, widocznie znudzona rozmową, która się rwała, ziewnęła głośno.

— Zdaje mi się, że pogoda się zmienia — zauważyła. — Ale, otóż i Zoe Carperade!

Z bocznej alei wychodziła niańka, w sukni ciemnej, znoszonej, niosąc na rękach dziecko w białym płaszczyku. Twarz jej była pełna, zmarszczona, wygląd pospolity. Spojrzała na ławkę zajętą.

— Ustąpię pani miejsca — rzekła Burgundka — mam tu ze sobą składane krzeselko.

Popchnęła swój wózek, zrównała go z drugim i wskazała miejsce nowoprzybyłej.

Zoe, trochę onieśmielona sztywnym zachowaniem się Maryi, spojrzała z wdzięcznością na Burgundkę i odezwała się:

— Idąc tutaj, spotkałam waszą panią, taka ładna pani i tak ładnie ubrana.

Burgundka przytaknęła ruchem głowy.

— Jestem u porządných państwa! — odezwała się zadowolona.

— To nie tak, jak ja! — westchnęła Zoe. — Wczoraj pobili się znowu. Moja biedna pani ciągle płacze.

Nagle, duża kropla deszczu upadła na rękę panny Maryi.

— Deszcz pada! — rzekła.

— Ale to nic! — odpowiedziała Zoe. — To przejdzie.

Ale krople stawały się coraz częstsze, niebo poszarzało i deszcz lunął rzesisty, przemieniając się w gwałtowną ulewę. Nianki się zaniepokoiły.

— Prędko! prędko! — wołała panna Marya.

Aby im przyjść z pomocą, trzymając Lola na jednej ręce, drugą pochwyciła wózek Paryżanki i szybko podsunęła go pod rękę Burgundki.

Niańka, zaniepokojona o swój biały czepek, przybrany wstążkami, nie zauważyła zamiany, Paryżanka zaś, przepychając się gorączkowo przez Zoe, porwała drugi wózek, oszukana nadzwyczajnym podobieństwem i pewna, że to był jej własny.

Nianki rzuciły się w popłochu do ucieczki, a panna Marya, nie zdając sobie sprawy z zamiany, którą uczyniła, unosząc rozplakanego chłopca, biegła szybko w stronę Passy.

Deszcz tymczasem przemienił się w grad drobny i gęsty. W pierwszej chwili Paryżanka nie nie spostrzegła, zajęta uchronieniem dziecka przed zmoknięciem. Wbiegła w otwartą bramę kamienicy, gdzie już schronił się jakiś ksiądz i robotnik, aby przejechać pierwszą nawalnicę.

Była zmęczona szybkim biegiem i strzepywała suknię, ociekającą wodą, kiedy z wózka odezwał się płacz dziecięcy. Wyprostowała się zdumiona!

To nie był głos małej Madzi! Dźwięk był silniejszy i bardziej szorstki. I nagle zauważyła na jednej stronie wózka odrapania, poczynione na lśniącym lakierze, których nie знаła jeszcze. Przecucie straszne ogarnęło ją; rzuciła się na dziecko, uniosła głowę, zakrywającą twarz, wpatrzyła się badawczo: Po chwili zawołała zrozpaczone głosem:

— Ukradli mi moją małą!

— Co pani mówi? — zawołał robotnik ze zdziwieniem.

— To dziecko nie jest moje! I wózek także! Zamienili mi dziecko! Ukradli! — wołała zrozpaczona.

Twarz jej pobladła, a w oczach przebiegł nagły lęk, zbudzony uczuciem odpowiedzialności, które ujrzała w całej grozie.

— Gdzie się to stoło? — zapytał robotnik ze współczuciem, widząc, jak drży i traci przytomność umysłu.

Zaczęła opowiadać. Wkrótce przed kamienicą uczyniło się zbiegowisko. Nadszedł stróż zaciekawiony płaczem i podniesionym głosem dziewczyny, sklepniczka wybiegła na próg swego sklepu, z niższych pięter zbiegły się służące.

— Tu, tu niedaleko, na skwerze! To ta wielka niańka, w czepku ze wstążkami, ukradła mi moją małą! — krzyczała dziewczyna, zanosząc się od płaczu. A tamta, ubrana jak panna, dopomogła jej!

— Ale jakże nie spostrzegłaś tego, moje dziecko? — zauważył ksiądz łagodnie.

— Czy ja wiem, jak się to stało! Wózki takie

były do siebie podobne, że możnaby przysiąc, że to jeden i ten sam! Stały tuż koło siebie w rzędzie i te złodziejki skorzystały, jak deszcz zaczął padać, a my wszystkie uciekałyśmy, aby porwać dziecko!

— A to niesłychana rzecz! — zauważyła jakaś gruba przekupka — W ładnym świecie żyjemy! Kradną dzieci w biały dzień!

— Skoro jednak, moje dziecko — rzekł ksiądz — jak sama twierdzisz, wózki tak były do siebie podobne, tamta mogła się łatwo pomylić. Może już spostrzegła swoją pomyłkę. Trzeba powrócić prędko na to miejsce, może ją tam znajdziemy.

Paryżanka, bez słowa, automatycznie idąc za radą, szybko pobiegła naprzód. Ale ktoś pobiegł za nią i powstrzymał.

— A dziecko? Zapominasz o dziecku!

— To nie jest moje! Nie znam go! — odpowiedziała szorstko.

— To jeszcze nie racya, żeby je tu zostawiać! — odparła surowo przekupka. — Cobyś panienka powiedziała, gdyby tak z twoją małą zrobili?

Niańka pochyliła głowę, pochwyciła żywo wózek i nie troszcząc się, że podskakuje na bruku, spieszenie skierowała go w stronę parku.

Odnalazła łatwo ławkę, na której siedziały, ale żadnej z nianiek tam nie było.

Zapytała dozorczy, lecz ten nie umiał jej nic powiedzieć. Tyle tu codziennie różnych nianiek z dziećmi chodzi.

— Ale panna zna przecież swoje towarzyszki? — mrucał — Siedzicie razem, rozmawiacie!

— Ja? — oburzyła się Paryżanka — Po raz pierwszy znalazłam się w tej dzielnicy. Nie jestem stąd, nie widziałam ich nigdy!

— W takim razie nie łatwo się je odnajdzie. Ja często je tutaj widuję. Szczególniej tą w zielonej sukni i tą grubą ze wstążkami, ale gdzie mieszkają, tego nie wiem. Zauważyłem tylko, że odchodzą zawsze w stronę dworca Passy.

— Boże mój, co ja teraz pocznę? — lamentowała Paryżanka.

— Zostawi mi panna swój adres — oznajmił urzędowo dozorca — Jak tamta tu wróci, bo to może być tylko pomyłka, to ją odeszłam do panny mieszkanki.

Wyciągnął z kieszeni zatłuszczony notatnik i kawalek ołówka.

— Jak się panna nazywa?

— Teresa Jacquin.

— Jacquin. U kogo służy?

— U pana Mitre, ulica Malakof 12, drugie piętro na prawo.

— A czemże zajmuje się ten pan?

— Pracuje w biurach w ministerstwie.

— A teraz, moja mała, pójdziesz do cyrkulowego komisarza i złożysz mu swoją deklarację. Rozumiesz? Tamta może już dała znać na policję i szukają cię.

Energiczny i szorstki głos starego dozorczy podziałał oprzytomniając na Teresę. Usiadła na ławce i zalała się łzami.

— Co moi państwo powiedzą! — mówiła przyrywającym głosem. — Ja nie mogę bez dziecka powrócić do domu!

— No, no, moja mała, tylko bez komedii! Teraz musisz wypełnić to, co do ciebie należy. Idź do raportu i miej odwagę przyznać się do swojej nieuwagi. A z państwem to się samo ułoży, jak się dziecko znajdzie!

— Wołałabym rzucić się do wody! — zawołała Teresa — I tego szczeniaka także!

— Ho! ho! Zdaleko się posuwasz. Pilnuj tego, co mówisz, bo może być z tobą źle! Jesteś bez serca i wstydu. Cóż ten mały ci zawinił? Lepiej zajmij się nim i nakarm, bo krzyczy.

— Nie! — krzyknęła dziewczyna, tupiąc nogą — Czy ja wiem, czyje to i skąd pochodzi! Czuję tylko, że stanie się jakieś nieszczęście!

— Jeżeli tak, to przydam ci kogoś, co cię pilnować będzie. A ostrożnie, radzę ci, bo za najmniejszym buntem zaprowadzi cię tam, gdzieś może jeszcze nie była!

Dozorca skinął na stojącego opodal policyanta i pomógł z nim chwilę.

— Doskonale — odezwał się tenże — zaprowadzę tę pannę do komisarza, a potem odprowadzę ją do jej mieszkania. Niema obawy! Nie zginie mi w drodze!

Podszedł do dziewczyny i rozkazał krótko:

— Proszę iść ze mną i bez grymasów.

Teresa, nagle ubezwładniona, biernym ruchem popchnęła wózek przed siebie.

## Niepokój pana Mitre.

Ojciec małej Madzi, pan Henryk Mitre, szef biura w ministerstwie oświaty, uczuł się niezdrowym dnia